

Jacek Sieradzki

GUŚNIEWSKA

Nie pamiętam, który z dyrektorów teatru opowiedział mi tę przygodę. Miał mieć święto sceny, widownia składała się ze stałych bywalców. I na parę godzin przed podniesieniem kurtyny premiera stała się z jakiegoś technicznego powodu niewykonalna. Zdeterminowany stanął przed publicznością, powiedział, że zespół jest za kulisami, że przygotowują w ciągu godziny i zagrają każdą pozycję z repertuaru; niech tylko widzowie wybiorą, co. A widzowie wybrali... bajkę grywaną dla szkół, a w weekendy dla całych rodzin.

Myślę o tej historyjce z rozrzewnieniem. I z szacunkiem dla spektatorów, którzy umieli się bez wstydu przyznać do bardzo pocziwej przyjemności. Którzy nie ulegli ani szantażowi ambicji, że *trzeba coś artystycznego*, ani chęci zobaczenia raz jeszcze, jak pan w gaciach wchodzi do szafy, bo mąż kochanki właśnie wrócił z delegacji – czyli zamiłowaniu do farsy, która też, a jakże, była na liście propozycji. Wybrali bajkę, o której, podejrzewam, słyszeli, że jest efektywnie wystawiona, może też inteligentna i dowcipna. Nie można zarzucać im dziecięcinia. A jeżeli już, to w tym samym stopniu dziecięcinia jest dziś cała kultura. Przynajmniej kultura popularna.

Bajki mamy na co dzień. W nieomal każdym serialu. W większości filmów fabularnych. W czytałach. Bajki udają życie, dorosłość, powagę, ale są bajkami, niekiedy beczelnie bajkowymi. Czasami robią sobie atut z odwracania własnych schematów. Vide *Shrek*. Vide *Wiedźmin*: Andrzej Sapkowski przed główną sagą wydał dwa tomy opowiadań, z których każde było echem, niekiedy bardzo dalekim, znanej bajkowej opowieści. Także *Gra o tron*. A od niej już bardzo przecież blisko do dzieł niejakiego Szekspira, które też są bajkami, krwawymi, sielankowymi, przewrotnymi, filozoficznymi, sarkastycznymi – a nie seansami psychoanalitycznych wiwisekcji, na które tak się uparł owładnięty paniczną niechęcią do fabuły nasz wyrafinowany współczesny teatr.

Najczęściej graną polską autorką sceniczną jest dziś Marta Guśniowska. Jeśli liczba wystawień jej sztuk, począwszy od debiutu w 2006

roku, nie dobiła jeszcze setki, to bez wątpienia osiągnie ten trzycyfrowy wynik już za chwilę. Grają ją wszystkie teatry lalkowe, sięgają po jej teksty także sceny dramatyczne. Jej utwory są wydawane w formie efektownych książeczek, tłumaczone na obce języki, autorka zdobywa prestiżowe nagrody. Ma też grupę oddanych obserwatorów-fanów, którzy, delectując się kolejnymi dowodami nieprzeciętnej wyobraźni, klasy i poczucia humoru autorki, z niedowierzaniem widzą, że rezonans jej twórczości, rozgłos i rozpoznawalność są grubo słabsze, niżby na to zasługiwała. I niekoniecznie dlatego, że to *tylko dla dzieci*.

Guśniowska ma ulubiony format: częsty w bajkach motyw drogi. Bohaterowie dokądś wędrują, przeżywają kolejne przygody, poznają nowych znajomych z ich problemami, uczą się w wędrownie tego, co należy. Głównie odtrutek na egocentryzm, empatii, życzliwości dla innych (procentującej też dla siebie). Także szukania w świecie tego, co pozytywne, tudzież pogodzenia się z tym, co nieuchronne. Zbożne to, choć pewnie nie odkrywcz. Nieprzebranym bogactwem bajek Marty G. jest galeria charakterów, ludzkich oczywiście, choć poubieranych w zwierzęce kostiumy. Samotników, kompleksiarzy, dziwaków, ambicjonerów, pocziwych fajtlapów wykładających się na skórcie od banana, ale i sierot, na przykład wilczych, którym rodziców *wymyślił* (strzelbą) myśliwy¹. Tych bohaterów, z tysiąca powodów niedających sobie rady w życiu, pisarka portretuje komicznie, ale lojalnie, budując im popisowe sceny, wyprowadzając w happy end, dając się z nich pośmiać, ale też ich polubić. Jak w dobrej bajce dzieci bawią jedne żarty, rodziców inne; zdarzało mi się widzieć rozanielone i rozklaskane panie nauczycielki, na co dzień ponuro zajęte pilnowaniem podopiecznych.

Pogodne, oryginalne i niegłupie; czy nie o to chodzi w sztuce popularnej? Rozpęd artystyczny Marty Guśniowskiej na tym się, rzecz jasna, nie kończy. Jej najlepsza sztuka – i jedna z najlepszych w dorobku dwóch pierwszych dekad wieku – zatytułowana *Ony*, to rzecz o chłopcu, któremu rozpadło się życie (tata odszedł, mama w psychiatryku, on u wuja-pijanicy, potem w domu dziecka), tyle że wirtuozowsko przeplacowana na stronę bajkową. W wyobraźni chłopca ojciec został piratem, pływa po morzach ze swoją papugą, trzeba go odnaleźć,

¹ Ba, nawet wariatów. Był taki Bóbr-schizofrenik, w którym walczyły dwie osobowości, natchnionego projektanta mostów i realnego, konkretnego budowlanica.

a droga poszukiwań niepostrzeżenie przechodzi w życiowy trakt, bajkowo-codzienny, smutno-pogodny, pełen paradoksów i przewrotek. Sekwencja w *Domu Dorosłego*, gdzie tatusie i mamusie czekają na dzień, kiedy przyjadą dzieci i będą spośród nich wybierały kandydatów do adopcji, wpisane w to nadzieje i rozczarowania oczekujących, groteskowo odwrócone acz wciąż realne i bolesne – to scena, której zapomnieć niepodobna. Kosmicznie śmieszna i rozdzierająca naraz.

Ony, parokrotnie już wystawiony, zasługuje na następne realizacje. Może i na film? Inne teksty też. Jej *A niech to Gęś kopnie*, brawurowy i cudnie czuły, komediodramatyczny obraz kobiecej depresji wygrał właśnie czwartą edycję festiwalu Teatroteka.Fest. Doceniono całość, a oddzielnie tekst, reżyserię, rolę. Dwa kłopoty: po pierwsze, gdzie i kto obejrzy to dzieło, jeden z *alternatywnych* teatrów telewizji, zrealizowanych w Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych? A po drugie, z całym szacunkiem dla reżyserii Joanny Zdrady, aktorstwa Agnieszki Przepiórskiej, Arkadiusza Janiczka, Łukasza Lewandowskiego i innych, przedstawienie jest ciut za dosłowne. Za toporne, za grube. Co nie jest może nawet winą realizatorów. Po prostu nie bez przyczyny Marta Guśniowska napisała to na lalki.

Bo ona jest lalkarką. Co nie oznacza teatryku kukielkowego (za *kukielki* lalkarz bije w pysk). Lalkarstwo to jest teatr formy i harmonii form. To są nieproste stosunki między animatorem a przedmiotem przez niego ożywianym, ale i żyjącym też własnym, niezależnym życiem. Mówiąc najkrócej, w dobrym lalkarstwie wszystko jest jednocześnie konkretem i metaforą, a metafora otorbia konkret, bierze go w poezję, uniedosławia, przydaje wielowarstwowości. Co brzmi może zawile, ale sprowadza się do tego, że na tę, jako się rzekło, pogodną i niegłupią fabułę powinna nałożyć się jeszcze wpisana w tekst precyzja doboru środków wyrazu, dbałość o ich proporcje, czułe zharmonizowanie wszystkich elementów w zgrabną piękną całość.

A to już są, mówmy szczerze, wymagania, którym nie tylko świat naszego teatru lalek, którym generalnie sztuka widowiskowa, nawet dobrej klasy, nawet dbała o poziom i nie pozbawiona ambicji, nawet tkająca swe obrazki z najlepszych materiałów – jakimi bez wątpienia są sztuki Guśniowskiej – niekoniecznie chce i niekoniecznie umie sprostać.

◆
Pisuje także dla dorosłych. W jej *Poczekalni sześć-dwa-zero*, którą drukowaliśmy w „Dialogu” trzy lata temu, Jeremi Przybora przejrzałby się z uśmiechem aprobaty. Ma w szufladzie parę scenariuszy komedii filmowych, ale takich, jakich się u nas nie kręci, groteskowo-slapstickowych. Od lat tworzy dla aktorów Białostockiego Teatru Lalek żarty-parodie klasycznych dzieł literackich, na które w niedzielne południe złazi się ponoć do Lalek całe dorosłe miasto. Ostatnio Teatr Miejski im. Gombrowicza w Gdyni zagrał jej prześmiewczą wersję *Trzech muszkieterów*. Ma wspaniałe wyczucie mechaniki gagu i potrzeb aktora; na rękach nosiliby ją fachmani od inteligentnej zabawy z epoki Kobuszewskiego, Dzięwońskiego, Kwiatkowskiej, epoki z lekka zamazującej się już w pamięci. Nie mam wielkiej nadziei, że ktoś tę stronę jej rozległego talentu zechce wykorzystać; skrzydła młynów przemysłu rozrywkowego mielą w inną stronę.

Aliści jej niesamowitego, organicznego instynktu lalkarskiego za żadne skarby przemarnować nie wolno. Marta Guśniowska sama szyje lalki sceniczne. Sama, nieproszona. Siada potem przy stole, a ta szmaciana cholera w jej dłoni poprzez jeden ruch palca robi taką minę – tak, tak, właśnie minę! – że człowiek nie wie, gdzie się schować z zawstydzenia. Żartuję, ale nie całkiem: ta absolwentka poznańskiej filozofii czerpie lalkarstwo nie z żadnej szkoły teatralnej, tylko z siebie, ze środka. Od niedawna zaczęła reżyserować własne utwory, nieśmiało, ale od razu dojrzałe, pewnie. Ostatnio w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora wystawiła *Wielkie mi coś*, bajkę odjeżdżającą w poetycką abstrakcję. Jednym z jej bohaterów jest ziarenko piasku imieniem Edgar, który bardzo chce, wbrew posturze, dokonać czegoś wielkiego. I robi to, zapierając się w lejku klepsydry i zatrzymując czas akurat wtedy, kiedy trzeba. Warto zobaczyć, jak to jest scenicznie opowiedziane, lirycznie i śmiesznie. Jak wartka, cudnie pomysłowa, wciągająca bajka przemienia się w dyskretny, nienatrętny, wyważony traktacik o naturze czasu.

Najwyższa pora, żeby w którymś z teatrów powstał Kącik Twórczy Marty Guśniowskiej, stały, wydzielony, osobno planowany. Miejsce eksperymentów i kolejnych odsłon jej talentu. Jesteście jej to winni, lalkarze, którzy od piętnastu lat tłuczecie setki wystawień jej bajek, ku swemu i widowni zasłużonemu zadowoleniu.

Jacek Sieradzki